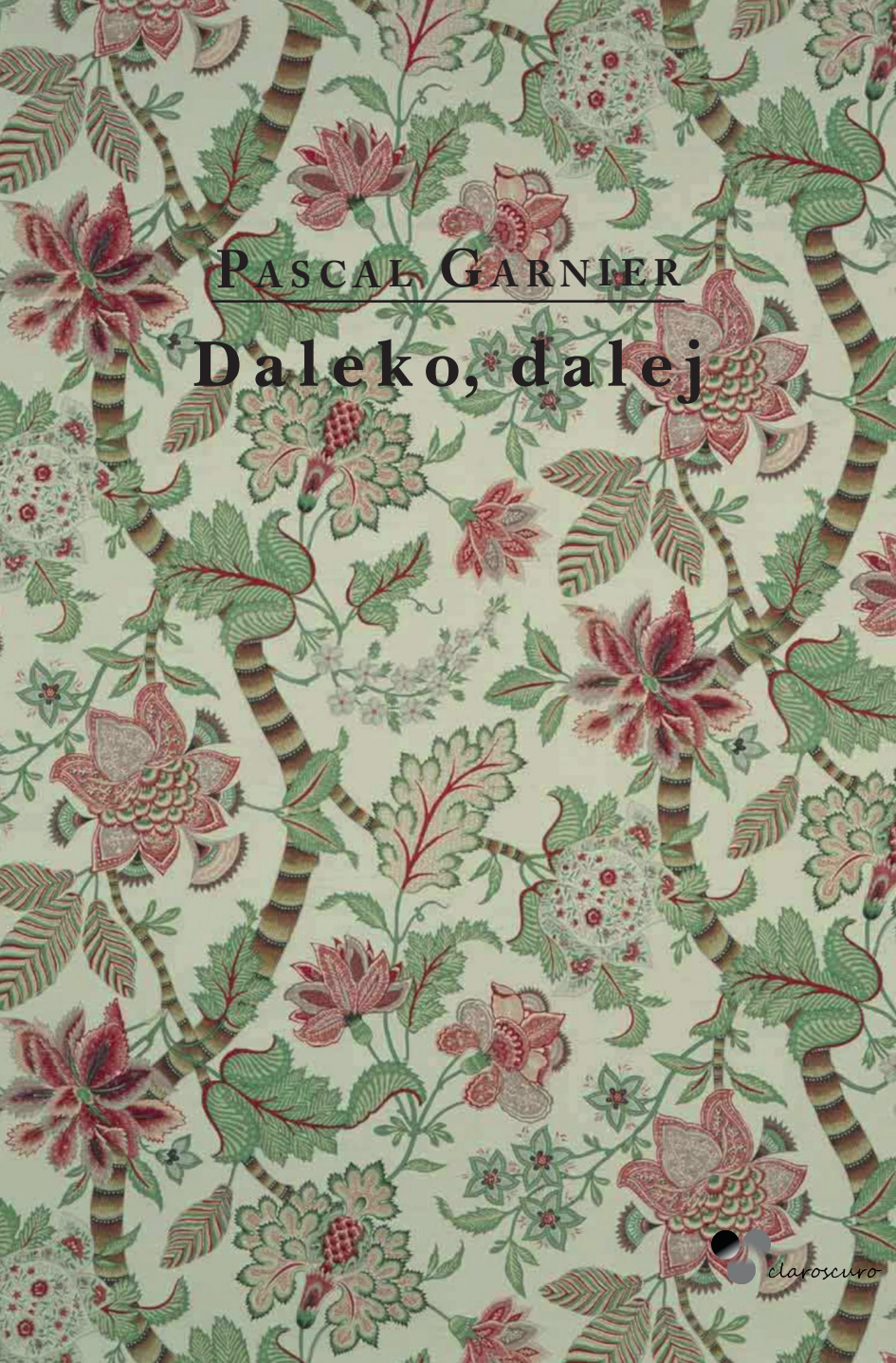




PASCAL GARNIER

Daleko, dalej

Spędził dobrą godzinę, stojąc oparty łokciami o poręcz mostu rozciągniętego nad autostradą, i gdyby nie zaczęło intensywnie padać, z pewnością jeszcze by tak stał. Jako kierowca wiele razy widział podobnych osobników, zwykle samotnych, pochylonych nad głównymi arteriami jak melancholijne błotniaki. Zawsze intrygowało go i czasami niepokoiło to niedorzeczne zajęcie. Po tych ludziach wszystkiego można się było spodziewać, zarówno samobójstwa, jak i rzutu rowerem, bo większość z nich miała jakiś obok siebie. Co takiego stamtąd widzieli? Obiecał sobie, że kiedyś sam się o tym przekona, i dziś nie żałował, że to zrobił. Huk silników i spaliny sprawiały, że może nie było to doświadczenie błogiego spokoju, jakie zapewnia obserwowanie nad rzeką liści i gałązek niesionych przez nurt, ale z pewnością było bardziej upajające. Umysł szybko uwalniał się od wszelkich myśli, co pozwalało wejść w stan medytacyjnego zawieszenia, a ruch samochodów jeszcze ten stan intensyfikował, przyprawiając o zawrót głowy. Jakież to musiało być wrażenie nocą, przy światłach reflektorów. Chloé nie miała racji. To nie on był nieobecny, tylko ci na dole, wyłaniający się nagle z najgłębszej nicości, by w kilka sekund zniknąć w ciemnej paszczy mostu.

Kiedy dotarł do domu, był przemoczony do suchej nitki. Nie musiał już nigdzie wychodzić, więc założył ciepłą jeszcze po nocy piżamę, szlafrok i pantofle. Nie mając nic do roboty, postanowił po prostu pobyc. Zajął swoje stałe miejsce na kanapie, ale ze zdumieniem poczuł, że jest mu niewygodnie. Po pięciu minutach wstał i przesiadł się na fotel. Tam nie było lepiej. Wypróbował jedno krzesło, drugie, trzecie, aż w końcu przycupnął na skraju niewygodnego pufa, który służył Chloé za schowek na przybory do wyszywania. Nigdy wcześniej na nim nie siedział. Z tej perspektywy zaczął się przyglądać swojemu salonowi zupełnie innym okiem. Mimo że rozpoznawał meble, bibeloty, obrazy, teraz wszystkie one sprawiały wrażenie kopii, bardzo dobrze wykonanych, ale jednak kopii. Nawet światło wpadające przez okno nie było takie samo. W nowym oświetleniu jego kanapa niepostrzeżenie zmieniała kolor i wielkość. Wydawało się, że cały pokój się przeobraża.

Odruchowo sięgnął po lupę, której Chloé używała do liczenia ściągów w hafcie, i prześledził dokładnie wnętrze swojej dłoni. Nie znajdując w niej przyszłości, zahaczył o przeszłość, niedużą bliznę w kształcie litery V, pamiątkę po tym, jak w wieku siedmiu lat skaleczył się o stłuczoną szybę. Następnie obejrzał prążki naciągniętej na kolanie piżamy, a na koniec splekaną skórę na czubku pantofla. Pomyśleć, że alpiniści w pocie czoła wspinali się na szczyty, by móc górować nad światem, a tu wystarczyło szkło powiększające, żeby osiągnąć ten sam efekt.

Dom należał do dobrze utrzymanych, odkurzaczy i ścierka były w stałym użyciu, a jednak aż dziw bierze, co można znaleźć między wełnianymi nitkami dywanu: maleńkie okruszki, cieniuteńkie włókna, włosy i włoski, cząsteczki mniej lub bardziej wiadomego pochodzenia, które pod wypukłą soczewką lupy nabierały imponujących rozmiarów. Trzeba by wielu dni, by przemierzyć ten pseudoperski świat, którego wzory ożywały na przemian jako wzburzone rzeki, lasy tropikalne lub nieurodzajne pustynie. Kiedy tak sunął z nosem przy podłodze, zdawało mu się, że wrócił z bardzo długiej podróży do domu, i ogarnęło go głębokie wzruszenie. Oto odnajdował swoje dzieciństwo, misternie wplecione w wymyślne arabeski dywanu. Patrzył, jak wystrzeliwuje ono spomiędzy splotu tkaniny niczym źródło wydostające się na powierzchnię. W którym momencie je utracił?... Człowiek budzi się pewnego dnia i wszystkie jego zabawki, jeszcze wczoraj pełne życia i magii, okazują się martwymi przedmiotami, bezużytecznymi i pozbawionymi mocy...

– Czemu chodzisz na czworakach po dywanie? Zgubiłeś coś?

– Tak... Nie. Szybko wróciłaś.

– Udało mi się wcześniej wyrwać. Ty już w piżamie?

– Rano kiepsko się czułem. Nie wychodziłem z domu.

– Dzwoniłeś do lekarza?

– Nie, wziąłem aspirynę. Już mi lepiej.

– Wciąż nie zaszczepiłeś się na grypę?

– Zrobię to w przyszłym tygodniu, obiecuję.

– Dobrze by było. Po sześćdziesiątce... I jeszcze ta pogoda. W biurze wszyscy przeziębieni, istne siedlisko zarasków. Jestem przemoczona. Chyba wezmę gorącą kąpiel.

- Zrobić zupę cebulową z serem na kolację?
- Świetny pomysł!

W rondlu na skwierczącym maśle szklila się cebula. Wlał do niej szklankę białego wina, potem wodę, dodał sól, pieprz, zmniejszył ogień i przykrył garnek. Korciło go, żeby opowiedzieć Chloé o swoim olśnieniu na moście nad autostradą i o tym, jak w meandrach dywanu znalazł dzieciństwo. Ale czy by go zrozumiała? Nie – to by ją tylko zaniepokoiło. Musiałby jej wszystko tłumaczyć. Godzinami... Szkoła nauczyła go bycia skrytym. Już pierwszego dnia zrozumiał, że odtąd będzie miał dwa życia, jedno zewnętrzne, a drugie wewnętrzne, i że tego drugiego nie będzie mógł nigdy z nikim dzielić. Chloé weszła w turbanie z ręcznika na głowie.

- Mmm, ładnie pachnie!

Wyglądała tak pięknie i wzruszająco, roztaczając wokół siebie woń kąpieli. Dlaczego nie potrafił jej opowiedzieć o moście i o dywanie?... Łzy napłynęły mu do oczu.

- Kochanie, co się stało? Ty płaczesz?
- To przez cebulę.